



Barbara Kryda

Światowe życie



© edu-Libri s.c. 2015

Redakcja i korekta: edu-Libri

Opacowanie graficzne: Anna Gogolewska

Fotografie i dokumenty pochodzą z archiwum rodzinnego

Wydawnictwo edu-Libri
ul. Zalesie 15, 30-384 Kraków
e-mail: edu-libri@edu-libri.pl

Skład i łamanie GRAFOS

Druk i oprawa: Druk-24h.com.pl

ISBN druk: 978-83-63804-66-4
ISBN e-book (PDF): 978-83-63804-67-1
ISBN e-book (epub) :978-83-63804-68-8
ISBN e-book (mobi): 978-83-63804-69-5

Spis treści

Wprowadzenie.....	7
CZĘŚĆ PIERWSZA • DZIEDZICTWO	11
DZIADKOWIE	13
Galicyjskie korzenie	13
Po Krydach	22
Po Bałukach	59
POD URALEM	95
Kwaśne winogrona	95
Pod znakiem tury	101
Życie jak w bajce	108
Przybornik z cyrklami	113
Uśmiech wojny	126
Głowa rodziny	140
Odyseja powrotna	148
Stare i nowe powroty	155
WE WŁASNYM DOMU	166
Po powrocie	166
W Niepodległej	185
Zaloty i Ślubowanie	201
Ottek i Ola – Zimna Woda	223
CZĘŚĆ DRUGA • ZA SIATKĄ	253
Nowy Rok Szkolny	255
Michał i Hanka	275
Pod Sowietami	296
W Zimnej Wodzie za rogatkami	316
O głodzie i chłodzie	345
Nauka historii. I obcych języków	366
Niebieskie gwiazdy	390
Od walki klasowej do <i>Endlösung</i>	390
<i>Marcus patriam amat</i>	415
Koniec Domu, koniec ogrodu, koniec wojny.....	435
Pożegnania / Spadkobiercy	456

Wprowadzenie

Myszę o codziennym życiu, które było tak czy inaczej prowadzone mimo inwazji, oblężeń i przewrotów. A także o tych, których umieranie przypadło na czas, kiedy każdy rok miał być datą w podręcznikach historii (...)

[Czesław Miłosz, *Nieobjęta ziemia*
s. 108, Paryż 1984]



Opowiedziana tu przeze mnie historia rodzinna jest w zamierzeniu czymś więcej niż tylko fragmentem rodzinnych wspomnień, choć i takie bywają niekiedy warte utrwalenia. Fakt, że wydarzyła się w określonym miejscu i czasie, nadaje jej, być może, znaczenie bardziej szczególne. I dlatego spróbowałam ją zapisać.

Doświadczenie, jakie w połowie XX wieku spotkało nasze pokolenie, bezpośrednio dotknięte nie tylko faktami drugiej wojny światowej, nie daje się chyba porównać z niczym, co znane było wcześniej. Masowość zamierzonej – choć niewiarygodnej – i w znacznej mierze naukowo i mechanicznie sprawnie przeprowadzanej na zwykłych ludziach zbrodni; zachwianie podstawowym i dotychczasowo akceptowanym systemem norm etycznych oraz ich (tym razem jednak skuteczna, jak się okazało) obrona; fakt, że ofiarami i jednocześnie bohaterami tego wszystkiego byli ludzie zwyczajni, którym bez przyczyny, z dnia na dzień, ich wywyższający się nad przeciętny poziom współbracia odebrali najbardziej podstawowe ludzkie prawa, w tym także prawo do istnienia – musi być tu szczególnie podkreślony.

Skutki tego dramatu – choć on sam z zakończeniem tej naszej wojny wydawał się niezwyciężony – trwają do dziś, choć żyjące pokolenia nie mają chyba pełnej świadomości tego, czym zostały naznaczone przez dziadków czy ojców. Jestem z generacji, która jeszcze pamiętając,

odchodzi już, więc może warto, żeby pozostawiła po sobie najmniejsze, najuboższe chociaż świadectwo? Nie mamy pewności, czy nie przyda się ono naszym następcom, bo przecież, dysponując tak doskonałymi technicznymi środkami masowego przekazu, można obserwować, jak wciąż odradza się głęboko gdzieś, od korzeni, nieśmiertelne zło pogardy dla życia i wartości.

Dość wcześnie – chyba jeszcze dzieckiem – zrozumiałam, że obowiązkiem człowieka jest pamiętać. Że musi on, gdy zrozumie, że żyje w świecie zatrutym nienawiścią i kłamstwem, szukać sposobu na przekraczanie tej nienawiści, ofiarowywać zrozumienie i zdobywać przyjaźń. Miałam szczęście, że podświadomie zdawałam sobie sprawę z tego od zawsze, a przekazywali mi tę wiedzę bezpośrednio moi Rodzice, nie przez drętwe teoretyczne moralizatorstwo, ale w toku codziennego życia, według kilku najprostszych, odziedziczonych i dochowywanych praw, które nie wymagają właściwie tłumaczenia.

Im więc, moim Rodzicom, a przez nich całemu temu światu, który ich ukształtował i który nam przekazywali przez własne odwołania do dalekich obszarów uznawanych za swoje własne, poświęcam te wspomnienia.

W pierwszej części książki (*Dziedzictwo*) cofają się one do pokolenia Dziadków, związanych z dawną austriacką Galicją, zachodnią i wschodnią, z ich centralnymi stolicami, Krakowem i Lwowem. Jak historia każe, trzeba wyjść poza nie: bliżej, na Wiedeń i półwłoskie Parenzo; dalej, na poleski, polsko-ruski Dobrusz; jeszcze dalej, za uralski Orenburg oraz inną wysiedleńczą drogą, z Wileńszczyzny, na najbardziej niepojęty Ałtajski Kraj. Materiał czerpię z zapamiętanych i przekazywanych nam w formie półbajek opowiadań; niezwykle pomocne okazały się również zapisane przed śmiercią fragmenty wspomnień naszego Ojca, który z perspektywy półwiecza spojrzał raz jeszcze na swoje dalekie dzieciństwo i młodość.

W objętościowo równoważnej części drugiej (*Za siatką*) wykorzystuję przede wszystkim własne dziecinne wspomnienia, pozostając na obszarze naszego utraconego (choć podarowanego tym, którzy w nim aktualnie, być może, mieszkają) podlwowskiego – niegdyś polskiego, dziś ukraińskiego – Zimnowódzkiego Domu z ogrodem, zamkniętym na sześć wojennych lat rzadką siatką przed naporem wojennej burzy. Tę naszą ograniczoną, najmniejszą, intymną Ojczyznę też w końcu musieliśmy w toku wymuszonej „repatriacji” opuścić, szukając nowego

miejsca na mapie dla doświadczeń naszej rodziny, poszerzonej o nowych, bliższych i dalszych przyjaciół. Wysiedlenia, przemieszczenia, deportacje i ewakuacje dokonywane były bezceremonialnie na bezbronnych masach ludności. Spory, od kiedy można użyć zdecydowanego terminu „ludobójstwo”, toczą się i odzywają wciąż na nowo wobec coraz to innych faktów – narodów i kultur.

W obu częściach wykorzystuję niekiedy zachowane lub powierzone mi dokumenty i wspomnienia.

Tytuł, a zwłaszcza zawarty w nim epitet „światowe”, mam nadzieję, podpowiada całości znaczenie nieco ironiczne, choć nie chciałabym być posądzona o zimną, szyderczą ironię, jaką posługuje się wobec istnienia współczesny nam świat. To raczej półuśmieszek wobec paradoksów historii, dystans wobec skłóconych racji, współczujące milczenie, w skrajnych przypadkach zdecydowane przechodzenie na stronę słabszego, kimkolwiek był. Trudne zrozumienie, jakie potrzebne jest zwłaszcza w stosunku do najbliższych krewnych czy sąsiadów zza płotu czy z pogranicza.

Całe życie próbowałam do tego dążyć – szukając przyjaciół na całym świecie, który był mi dostępny. Caspar Kuhlmann – Niemiec, Feliks Kabakow i Lew Ładyżenski – Rosjanie, René Dutel – Francuz, Sarah Davis – Angielka i inni. W krótkim czasie i niezwykle ograniczonych możliwościach było to jakby pośpieszne zgarnianie ułamków bogactwa tworzącego, jak w kalejdoskopie, niepowtarzalne, żywe kształty, gwiazdy, brylanty z odłamków rozbitego, barwnego szkła, obracające się przed oczyma w ubogiej, tekturowej tubie, gdy patrzymy w nią pod słońce. Prowincja rosyjska Feliksa i Stratford-on-Avon (bardziej Sary niż Szekspira), wreszcie polsko-żydowsko-lwowski świat Marcelego, dźwigającego na swoich barkach (pod okupacyjnym pseudonimem „Wyspiański”...) całe dziedzictwo holocaustu. Powierzył mi je, razem z tekstem *Pamiętnika*, na krótko przed swoim chrztem, przed śmiercią w 1974 roku (por. M. Stark, *Ale jednak czuję i żyję...*, IPN, 2012).

Może dlatego właśnie zdecydowałam się w jakimś (niełatwym) momencie zostać nauczycielką, ponieważ rozumiałam, że nauczanie „polskiego”, na jakimkolwiek poziomie czy w jakimkolwiek miejscu, równoznaczne jest z przekazywaniem młodym ludziom, uczniom i wychowankom, przez naukę języka i kultury literackiej, świadomości własnego pochodzenia i odpowiedzialności za wybór: przyjęcie lub odrzucenie dziedziczonych wartości.

Historia tutaj opowiedziana ograniczona została do kilku wątków i w zasadzie zamknięta w czasie. Ponieważ ograniczenie takie byłoby jednak dla świadomości bohaterów opowiadania niesprawiedliwe, wprowadzam liczne odwołania – do miejsc, sytuacji i okoliczności czasu późniejszego zwłaszcza, co wydawca, dla ułatwienia lektury, postanowił jakoś wyróżnić.

Żadna historia, zwłaszcza rodzinna nie zamyka się przecież mimo odchodzenia – śmierci – głównych bohaterów. Podobnie jak wychyla się poza miejsce, w którym się ongiś działa, razem w rosnącymi dziećmi wygląda w jakieś dalsze – nie wiadomo, lepsze czy gorsze perspektywy. Mikołaj i Julka, na swojej małej górze w drewnianym, bieszczadzkim domu położonym na skraju Dźwiniacza Dolnego, dzieci Ali z ukraińskiego Lwowa są bezpośrednimi jej dziedzicami.

Jak świat pozwoli im żyć z tym dziedzictwem?



[...] Koniec XIX i początek XX wieku. Dwie lwowskie siostry Leszczyńskie, Hela i Mania; dwaj stryjeczni, ale do końca życia jakby rodzeni, bracia Krydowie, Jasiek i Karol. Pierwszy ze Lwowa, drugi właśnie z polskiej kolonii w ruskim Dobruszu pod Homlem, w guberni mohylewskiej, a więc już spoza granicy między Austrią i Rosją. Ich związki rodzinne zostały utrwalone literalnie dożgonną, iście braterską przyjaźnią. Przenosząc się, jak wspomniałam, z Głogowa pod Rzeszowem na Polesie (może „za chlebem”, a może z innych powodów), nasz Pradziad Kajetan, syn Symeona i Konstancji, zdecydował się osiąść tam na stałe. Nie zmienił jednak, mimo sugestii otoczenia (!) obywatelstwa z austriackiego na rosyjskie, co dla dalszej historii miało swoje znaczenie.

Galicyski, czyli lwowski Jan Kryda (Jasiek, jak mówiono w rodzinie), członek „Sokoła”, turysta, taternik, po ślubie z energiczną lwowianką Helą (późniejszą naszą „ciocio-babcią”, która z krótkimi przerwami mieszkała z nami aż do śmierci) od razu związał się z kolejami państwowymi na służbie austrowęgierskiej monarchii (ze wszystkimi tego przywilejami) i po wschodnio-galicyskiej wędrówce przez różne stacje kolejowe, znakiem awansu służbowego osiadł we Lwowie, w ciepłym kręgu serdecznej i licznej rodziny Leszczyńskich.

Żyli sobie w tej polskiej Galicji, jakby wokół nie było ani Austriaków, ani Rusinów, ani Żydów, ani niczego innego. Albo inaczej: wszyscy tu w zasadzie żyli względnie spokojnie w różnych światach, różnych enklawach, wśród swoich, chronieni przez własny język, wiarę, obyczaj, pozycję społeczną czy obyczajową. Nie można powiedzieć, żeby nie było między nimi napięć i awantur, ale tak jak to bywa w mocno czasem skłóconych rodzinach właśnie, między swoimi; najwyraźniej oddzielona – i oddzielająca się – była wspólnota żydowska.

W Galicji dominowała świadomość przede wszystkim polska, ale współistniała ona z innymi – przede wszystkim z coraz bardziej umacniającą się ukraińską (jak mówiono dawniej, ruską), ale także niemiecką czy żydowską. Poczucie narodowości w każdym z tych światów było dziedziczone z pokolenia na pokolenie (po ojcu, po matce), choć można było również na tym polu dokonywać względnie swobodnego wyboru. Każdy pociągał za sobą pewne konsekwencje. Ta swoboda inaczej jednak wyglądała na terenie austriackiej Galicji (nawet Wschodniej), inaczej o krok dalej, ale już w Cesarstwie Rosyjskim.

Nasz Dziadek Karol nie podejrzewał nawet, jak radykalny w skutkach okazał się wybór, którego dokonał w przywoływanym tu momencie życia. Mógł poddać się niepisanim prawom rządzącym garścią osiadłych na Polesiu (od nie wiadomo kiedy, jak mówiono) Polaków, z których większość po trzecim rozbiorze stała się z biegiem lat na dobre poddany-
mi Imperatora Wszechrosji. Prawa te dotyczyły również dawnej polskiej kolonii w Dobruszu. Zakorzenili się tu i powoli, w sposób nieunikniony, jak to określano, ruszczeli. Proces ten jednak nie zawsze i nie do końca był skuteczny. Najdłużej, jak pisał w swoich wspomnieniach nasz Ojciec, Otton, bronił się język i obszar domowego obyczaju.

„Były to prawdopodobnie resztki rozdartej i prześladowanej Polski, która przycupnęła nad jednym z najcichszych rozlanych dopływów Prypecy, resztki, która może i zapomniała już, co to jest walka z bronią w rękę o wolność Polski, rozdartej przez sąsiadów. Ale ta garstka ludzi nie zapomniała, co to jest ojczysta mowa...”.

Mój Ojciec, urodzony na tym Polesiu, chciał, jak myślę, wyjaśnić i podkreślić sytuację oraz świadomy wybór swojego ojca, a naszego Dziadka, Karola (wywodzącego się po Kajetanie z podrzeszowskiego Głogowa). Zdarzyło się bowiem tak, że w momencie osiągnięcia przez tego ostatniego odpowiedniego wieku (czyli poboru do wojska) o b i e potęgi imperialne jednocześnie upomniały się o mało znacznego, jakby się wydawało, obywatela. Jako pełnoletni, Karol mógł zwyczajnie zostać na Wschodzie i przyjąć poddaństwo rosyjskie, jak od dawna przyjmowało wielu innych – wiele spraw by to uprościło. Był przecież urodzony w Homlu. Jednak nie zrobił tego. Skorzystał z możliwości, jaką mu podsunęło, z racji dziedziczonego po ojcu austriackiego obywatelstwa, nadesłane równie gorliwe wezwanie z „c.k. (cesarsko-królewskiego) -amtu” ze Lwowa do odbycia obowiązkowej służby wojskowej, oczywiście austriackiej. Obie potęgi dobrze rachowały swoich obywateli.

Chyłkiem, jak to sam później określił, wymknął się do Przemyśla, nic nie mówiąc miejscowemu „pristawowi”, po co jedzie na drugą stronę granicy. Został jednak (jak się to dość szybko okazało) z tego właśnie względu dobrze zapamiętany i zapisany w osobistych papierach tegoż jako „podozritelnaja licznost’” („podejrzany osobnik”)... Szczęśliwy, że wymknął się na pewien czas władzy rosyjskiej, nie podejrzewał, jakie wynikną z tego później konsekwencje.

Na razie odsłużył wojsko, jak nakazywał regulamin, w saperach Franciszka Józefa, cesarza również Galicji i Lodomerii, odświeżając i pogłębiając jednocześnie tak swoją wyniesioną z domu polszczyznę, jak i kontakty z lwowskimi krewnymi. Zwolniony wreszcie z zamojskiej twierdzy, gdzie odbywał służbę w stopniu kaprała, poszedł w ślady kuzyna Jaśka Krydy i w naturalny dla całej rodziny sposób poślubił drugą, młodszą z sióstr Leszczyńskich, delikatną Maniusię, w parafialnym kościele Marii Magdaleny we Lwowie. Te same figury świętych, ich oczy z tych samych obrazów wokół głównego ołtarza patrzyły więc w chwiejnym świetle świec – kolejno – na obie te ceremonie: na ślub Jaśka i Heli, a niedługo potem Karola i Mani.

Około trzydziestu lat później (mimo że w międzyczasie wydarzyła się pierwsza wielka wojna światowa i różne większe i mniejsze rewolucje) świadcowały one kolejnym logicznie następującym uroczystościom chrztu w tym samym kościele – w tym mojego i Andrzeja, czyli wnuków, co potwierdziło ciągłość wcześniejszych wyborów starszej generacji.

Ale potem to świadcowanie w ogóle się skończyło.

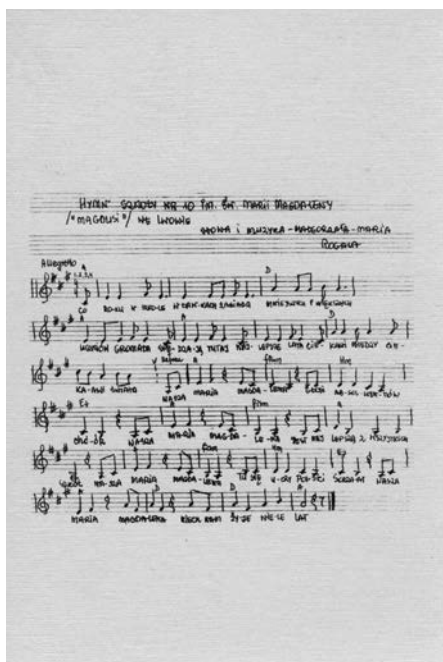
Gdy we wczesnych latach dziewięćdziesiątych XX wieku, już po powstaniu niepodległej Ukrainy zdecydowałam się po raz pierwszy przyjąć zaproszenie od kogoś z ukraińskich korespondencyjnych znajomych i rozpoczęłam swoje ekskursje do Lwowa; udało mi się zwiedzić w małej, nieoficjalnej grupie Olesko – odnawiany właśnie zamek, miejsce urodzin Sobieskiego, a obok niego niezwykle bogate i interesujące muzeum. Myśl o spustoszonej i zamkniętej od pół wieku lwowskiej świątyni przytępnęła nagle i dała mi impuls do zagadnięcia ukraińskiego kustosa.

Rozmowa toczyła się w obu językach – każdy mówił po swojemu i jeden drugiego doskonale rozumiał. Kustosz wyglądał na kompetentnego i żarliwego wobec dziedzictwa wspólnej naszej kultury i zapewniał, że zgromadzone tu zostały z całego terenu dawnych polskich wpływów wszystkie ocalone wartości, żaden obiekt nie uległ dalszemu zniszczeniu, wszystko zostało właściwie zabezpieczone.

Dawał różne przykłady, więc zapytałam szybko:

– A kościół Marii Magdaleny we Lwowie? Bo mnie tam chrzcili...

Bez słowa poprowadził naszą grupkę w dół do ciemnych magazynów, wzdłuż zamkniętych boksów. Jeden z nich, oznaczony, otworzył z kłódki. Stały wewnątrz, rzeczywiście porządnie ułożone, choć zakurzone i martwe w tym magazynowym szyku jakieś elementy czegoś (ołtarzy?), urządzeń liturgicznych, jakieś kartony, ramy (obrazy?), pudła, materiały w rulonach,



Znamienny Dzień Szkoły

31. X. 2013 r.

"Hymn Szkoły",
słowa i muzyka Małgorzata-Maria Rogala –
Uczniowie 7 klasy
Maria Łotocka "Lwów" –
Anna Nikłowicz
Mieczysław Opalek "Lwów" –
Władysław Mironowicz
Олесь Гордон "Я тобі даруватиму Львів" –
Maksymilian Kuc
Fryderyk Chopin "Preludium Nr 4"
Natalia Otko "Polska Szkoła Nr 10" –
Zofia Wwederńska
Irena Nuckowska "Wspomnienie lat" –
Barbara Baczyńska
Ilona Kuryluk -Toczyska "Do Pani M..." –
Maria Bobko
Felix Mendelssohn-Bartoldy –
"Andante z kwartetu op. 44, Nr 2"
Franciszek Dominik "Miasto rodzinne" –
Maksymilian Kuc
Barbara Zajdel "U nas" –
Roksana Ilczyniak

Олесь Гордон "Стрийський парк" –
Iwona Kylymiak
Barbara Zajdel "Wstąp na Wuleckie Wzgórze" –
Anna Jagiełło
Felix Mendelssohn-Bartoldy –
"Allegro Appassionato z kwartetu op. 44, Nr 2"
Janina Micińska "Witaj, Szkoło" – Julia Polańska
Alicja Romaniuk "Nauczycielom Dziesiątki" –
Robert Nester
Fryderyk Chopin "Preludium Nr 7"
Teresa Pakosz "Kochana Szkoło" – Mikołaj Kuc
Janina Birecka-Ponomarczuk "Pod trójkątem" –
Teresa Sywak
Myrosław Skoryk – "Melodia"

Gościnny występ kwartetu muzycznego –
Andrij Jaciuk, Myrosława Kuczer,
Irena Kozak, Julia Kich – studenci
Lwowskiej Narodowej Akademii Muzycznej
im. M. Łysenki (klasa prof. Artura Mykitki,
Zasłużonego dla Kultury Polskiej)

Reżyseria – Maria Iwanowa
Scenografia – Teresa Dutkiewicz, Anna Szerszniowa,
Marta Andruszko

Zaproszenie do polskiej szkoły we Lwowie

zasłony i nie wiem co jeszcze. Wokół zapanowała cisza. Zrobiło mi się duszno. To było za szybko i za duży wstrząs. A potem nagle odczucie pustki. Z wczesnego dzieciństwa zapamiętałam przecież tajemniczy nastrój splotu ciszy i modlitwy, światła i mroku oraz ożywających w muzyce organowej i wielkim zbiorowym śpiewie kształtów/zapachów – tajemnicy, która się nie dawała ani dotknąć, ani opisać.

Nie rozpoznałam teraz, oczywiście, niczego. Wtedy byłam zbyt małym dzieckiem. To, co tutaj stało zamknięte w boksie, nie miało dla mnie żadnego sensu. Zresztą, pomyślałam, taki kościół trudno zapakować i zmagazynować, żeby miał sens.

Pozostawiona po roku 1945 polskiej społeczności szkoła („z polskim językiem wykładowym”) znajdująca się w pobliżu tego kościoła, poufale przez pokolenia uczniów nazywana „Magdusią”, dopiero w 2013 roku uzyskała prawo do zwrotu dawnego imienia patronki – św. Marii Magdaleny. Już jednak nie mogłam pojechać na uroczystość z tej okazji, na którą przysłano mi z Naszego Miasta zaproszenie.

Po ślubie Karola i Mani najprościej byłoby im zostać we Lwowie. Ale w Galicji (nazywanej potocznie Głodomerią) na przełomie wieków, zwłaszcza w dużym mieście, o pracę nie było łatwo.

„Starania o posadę kończyły się propozycją ... zostania ślusarzem w warsztatach kolejowych i zamieszkania w ciasnocie miejskiej, gdzie sporo Krydów i Leszczyńskich pędziło żywot nie zanedto bogatych mieszczuchów”.

Za to wypracowane jeszcze przez Pradziadka Kajetana związki z Dobruskim środowiskiem stwarzały interesującą perspektywę. Właściwie nic nie stało na przeszkodzie, żeby przeskoczywszy jakby nigdy nie granicę z powrotem (tym razem z młodziutką Żoną), wrócić i przyjąć korzystną ofertę: po śmierci Kajetana samotna Prababcia (zwana Bunią), żyjąca nadal w polskiej kolonii w Dobruszu potrzebowała opieki i – co najważniejsze – miejsce „gławmechanika” w wielkiej Papierni imienia Knięcia Paskiewicza było na początek dobre samo w sobie, jako pewna posada.

Okazała się też i na jakiś czas pewna jak złoto. Poza odpowiedzialnym stanowiskiem głównego kierownika warsztatów (co dawało poczucie zdobywania w tym świecie od podstaw szacunku zawodowego), posada była dobrze płatna. Dawała dużą samodzielność i perspektywę rozwoju: Karol miał satysfakcję z udziału nawet w podejmowaniu liczących się

decyzji dotyczących rozbudowy poszczególnych działów (jak ją krótko nazywano) Fabryki, sprowadzania, adaptowania i konserwacji nowoczesnych jak na tamte czasy zagranicznych urządzeń technicznych. Ślad tego zachował się w dokumentacji z odkładanych sum na koncie oszczędnościowym; stosunkowo szybko więc można było myśleć o budowie własnego nowego Domu.

Wszystko to pozwalało widzieć dalsze życie świeżo założonej rodziny nie tylko w jakim-takim dostatku, ale nawet w pewnym dobrobycie, przy możliwości częstych stosunkowo kontaktów ze swoimi w Kraju – jak mawiano na wszystko, co wiązało się z nieistniejącą przecież Polską. Odradzała się ona od dłuższego już czasu pod powierzchnią cesarskiego szablonu w Galicji), a uosabiała ją również podtrzymywane relacje rodzinne ze stanisławowskimi i lwowskimi Leszczyńskimi. Wszystkie te związki, jak się potem okazało, były śledzone i odnotowywane uważnie przez rosyjskie władze policyjne.

We Lwowie seniorem rodziny był inny wujeczno-stryjeczny dziadek, Karol Leszczyński (znów Karol!), mąż drobnutkiej, ale życiowo energicznej Heli – też Heli! (te imiona w rodzinie powracają i powtarzają się), skutecznie organizującej życie domu pełnego dzieci: jedynie Lolek, romantyczna Maryna, wesoła Jadźka, najmłodsza, a więc rozpieszczana Stacha. Wszyscy oni pozostali dla nas na zawsze najbliższymi ciotecznymi (stryjecznymi? wujecznymi?) krewnymi po Ojcu.

To poczucie bliskości samo z siebie przeszło później zwłaszcza z Ciotki Maryny (z męża Rosnerowej) na jej córkę, niewiele ode mnie starszą Dzidę (Marysię), od dzieciństwa utalentowaną pianistkę, która po powojennej wędrówce przez Kraków, Wrocław i Kielce osiadła na stałe w Warszawie; objęło to także jej dzieci i wnuki. Z nich zwłaszcza, jak myślę, Ewa, Łukasz (mój chrześniak) i Mateusz mogliby być tym opowiadaniem najbardziej zainteresowani.

Nie da się w tej relacji utrzymać jednolitego ciągu wydarzeń. Dotyczy ona przecież wielu ludzi; ich losy przecinają się i w swoim porządku załamują, a dzieje się to wszystko nie tylko we mnie. Nieuniknione jest wybieganie w przyszłość i powroty, tak jak bywa z odtwarzaniem układów zachowanych w pamięci nie jako płaski rysunek ani jeden ciąg wydarzeń, ale jakiejś skomplikowanej r u c h o m e j konstrukcji przestrzennej, której elementy zachodzą jedno na drugie, ujawniają czy przetwarzają różne wersje świadomości tych ludzi, różne oblicza jednej [...]

Uśmiech wojny



Od jesieni 1917/1918 roku rewolucja jak pożar ogarniać zaczęła coraz szersze połacie kraju i Orenburg stał się w końcu główną areną walk między dwoma obozami: carskim (białych) i rewolucyjnym bolszewików (czerwonych).

„Oddziały wojsk bolszewickich napadały po nocach na Kozaków orenburskich i urządzały im rzezie, po czym wycofywały się w stepy. Kozacy urządzali spóźnione pogonie za konnicą bolszewicką, znienacka otaczali obozy bolszewików, wyrzynając ich do nogi. Wszystko to działo się wśród niby normalnego życia miasta. Na ulicach tylko, idąc rano do szkoły spotykało się żołnierzy, jakby śpiących pod murami domów, nawet pod naszą szkołą. Dopiero potem zdałem sobie sprawę z tego, że to były trupy.

Wreszcie naukę przerwano – od zachodu weszły do miasta przeważające siły bolszewickie”.

Z tym doświadczeniem wiąże się pierwsze postawienie ich obu – Ojca i Syna – przed lufą przez żołnierzy rewidujących dom i szukających kontrrewolucjonistów oraz strach – już nie taki jak przy zdawaniu egzaminu wstępnego, bo strach o życie. I znienacka, na zasadzie kontrastu – objawiony przywilej prawa neutralności („Polaka obcokrajowca”), który dopiero wtedy okazał swoje znaczenie zbawcze. Po niespodziewanej ранней rewizji, związanego z nią wyprowadzenia przez uzbrojonych żołnierzy Karola oraz zatrzymania go (tym razem tylko na dwa dni, choć też bez wyjaśnienia), argument: *Jesteśmy Polakami i do waszych spraw się nie mieszkamy* – został, jak się okazało, zrozumiany i uszanowany. Potem dopiero Karol dowiedział się, że w miejscowym rewolucyjnym trybunale wojennym zasiadał (zdekonspirowany teraz) kolega z pracy, inżynier tejże fabryki pracujący na drugą zmianę, który złożył decydują-

ce oświadczenie: *ten człowiek rzeczywiście jest obcokrajowcem, Polakiem, którego ja dobrze znam i mogę zaświadczyć jego apolityczność.*

W t e d y apolityczność okazała się przepustką na życie.

„Zaciekle walki trwały wokoło Orenburga, miasto przechodziło kilka razy z rąk do rąk. Większe oddziały białych wojsk generała Dutowa (orenburskich kozaków), odparwszy na dłużej bolszewików, odsłoniły obraz straszliwych ofiar na polach bitew – zwłaszcza młodszych uczniów gimnazjum i realnej szkoły. Ofiary postrzelane i zamrożnięte w najokropniejszych pozach zwalono na podłogę jednej z sal miejskiego zarządu i wystawiono na widok publiczny. Poszedłem tam razem z kolegami i od razu rozpoznałem szereg chłopców z naszej klasy. Znane twarze wykrzywione uśmiechem wojny – widok wstrząsający.

Nazajutrz nauka w szkole szła swoim trybem. Tylko śmierć kolegów uciszyła nieco naturalny gwar. Od tej chwili przestaliśmy być zwykłymi chłopakami – staliśmy się nagle dorosłymi mężczyznami zdolnymi już do broni, walczącymi o coś – sami dobrze jeszcze nie wiedzieliśmy o co, tyle, że ci co nie żyli, widocznie zmylili cel – bo nie żyją? Coś tam świtało w głowach, nie bardzo wiedziałem co. Ojciec w porę powiedział: «Ty tylko uważaj – jeżeli chcesz wrócić do Lwowa, nie mieszaj się tu do niczego». Zrozumiałem, że najważniejszy jest powrót do swoich. I do nauki, która w szkole, mimo wszystkie dramatyczne wydarzenia szła nieprzerwanym ciągiem dalej.

Rozprężenie w mieście związane było też z pożarem rafinerii spirytusu, widocznym z okien naszego mieszkania. Na wieść, że pali się rafineria, ludzie rzucili się z wiadrami, żeby nabierać, ile się da. Tłok był taki, że jedni wpadali do zbiorników i topili się w nich, inni kładli się wzdłuż krawężników na ulicach, którymi płynęły strugi spirytusu wypływającego ze zbiorników podziurawionych kulami pijanych żołnierzy, jeszcze inni leżąc na ulicy chleptali wprost z lejącego się płynu do zamroczenia, aż do śmierci. W naszym hotelu różni mieszkańcy też wlekli wiadrami spirytus z rafinerii: chłapiąc i rozlewając go po schodach i korytarzach rozsiewali smród surowego i skażonego spirytusu.

Jak przy tym można było odrabiać lekcje szkolne, wśród tego ogólnego podniecenia i strachu? A jednak i uczniowie, którzy przeżyli ten okres i nauczyciele, którzy nie znaleźli się na którymś z lokalnych frontów, zupełnie serio brali udział w grze edukacyjnej. My z ojcem poza tym, patrząc na to wszystko, cieszyliśmy się, że reszta rodziny jest oddalona od centrum wydarzeń. Trzeba było jednak co miesiąc zasilać ją ojcowską pensją. Tę funkcję teraz ja spełniałem, dojeżdżając do Ilecka pociągiem.

Najczęściej bywały to składy towarowe, które chodziły, jak chciały. Obie strony wojny powstrzymywały działania przeciwnika różnymi sposobami, nawet unicestwianiem torów kolejowych, które wołami ściągano z nasypu, lub też szyny razem z podkładami nawijano wzdłuż toru jakby na szpulę, jak taśmę telegraficzną. Można było w ten sposób zasadniczo wstrzymać szybkość posuwania się wroga. Skrecony tor «na szpulę» nie nadawał się do niczego poza ściągnięciem go na pobocze; trzeba było sprowadzać i kłaść nowe podkłady, nowe szyny.

Studiowałem uważnie te różne techniczne sposoby niszczenia świata. Do Ilecka wybrałem się raz w okresie chwilowego przerwania działań wojennych.

Jechaliśmy nocą, wagony były praktycznie nieoświetlone, po kątach kuliło się kilka opatulonych kobiet. Gdy zbliżyliśmy się do frontu, zaczęła się szczekająca muzyka kulomiotów. Padło hasło: *Łożys' na poł!* – niby w celu uniknięcia trafienia kulą – myślałem, że przecież kule mogą przebijać ściankę wagonu tak samo dobrze na wysokości stojącego człowieka jak leżącego na podłodze... Włosy się jeżą, kulomioty grają, pociąg nie przystaje, ja grzecznie leżę... i zwyczajnie boję się, zupełnie jak wtedy gdy zaglądałem do wnętrza rewolweru tamtego bolszewika. Po pewnym czasie szczekanie kulomiotów zaczęło się oddalać. Nie ustały tylko dalekie strzały armatnie, które po zejściu z pociągu na stacji kolejowej w Ilecku widziałem z dala jak błyskawice burzowe. Czekala mnie jeszcze droga do domu – tylko parę kilometrów przez pole – odsłonięta ze wszystkich stron”.

Następny dzień Ottek zapamiętał najwyraźniej. Po dotarciu w Ilecko do domu przy dalekim już akompaniamencie armatnim cieszył się, że front się znów oddalił, że wokół trwa zwyczajny dzień wśród bliskich; wychodzili nawet z Helą za miasto, na rozświetlone słońcem śnieżne pola, gdzie mogli swobodniej porozmawiać o tym, co razem składało się na ich różne przecież aktualne doświadczenie. Życie domowe z jego pytaniami i niepewnością, nieprzewidywalne perspektywy, dramatycznie nabrzmiewające konflikty tego obcego świata ogarniające ich tak wątplą, choć tak rozpaczliwie bronioną neutralność. Jakież miała ona szanse wobec obłąkanego starcia wyzwolonych tutaj sił... *Ale jeżeli bolszewicy potrafiliby ją uszanować...*

W drugiej połowie dnia niepokojące stały się ruchy wojsk ściągających pod sam Ileck, wyraźnie coś znów zapowiadające. Zasadnicze starcie „białych” z oddziałem bolszewików wybuchło dopiero w nocy.

„Nasz dom miał metrowej grubości ściany, ale Babcia nie wierzyła drewnianym okiennicom i zatykaliśmy okna dodatkowo, czym się dało. Spaliśmy jednak na podłodze do rana, nie bardzo wiedząc co dzieje się dookoła. Gdy po nocnym piekle nastała przerażająca cisza, postanowiłem jednak wracać do Orenburga. Zastanowiło nas tylko to, że podczas tej słonecznej pogody i ciszy nieciszy, zbyt wielkie ilości pustych teleg (lekkich wozów) pod eskortą konnicy wojskowej pociągnęły w step. Pozostaliśmy z Helą w ukryciu, na przedłużeniu naszej ulicy, wyczekując ich powrotu. Po dłuższym czasie siostra, spojrzawszy pod słońce krzyknęła: «Patrz! wracają»... Rzeczywiście wracali, ale gdy zbliżyli się do nas, zauważyliśmy, że jadą wolno, jak pogrzebowy kondukt. Konie umęczone, ledwie ciągnęły pełnusięńkie telegi martwych ludzi, poukładanych jak sztuki rzeźnego mięsa. W oczach poczerwieniało mi od krwi, która była wszędzie: na twarzach, na białźnie, odrąbanych od tułowia członkach, przeciekała po telegach i przez słomę na śnieg, znacząc ostatnią drogę bohaterów, co nie doszli do celu. Było ich chyba siedmuset ludzi – cały oddział, który w nocy został zaskoczony i wyrąbany przez bolszewicką czerezwyczajkę co do nogi. Nie pamiętam już, jak potem udało mi się wrócić do Orenburga. Generał Dutow ze swoimi kozakami wycofał się gdzieś dalej. Bolszewicy opanowali całą orenburszczyznę”.

W zapiskach swoich Ojciec nie notuje przebiegu kolejnych wydarzeń historycznych, zatrzymuje się albo na tym, czego był przypadkowym świadkiem, albo co dotyczyło rodzinnego życia. Ale nawet śmierć – kolejno – dwojga najmłodszych z rodzeństwa (Lolka i Jagusi), przeszła jakby dosłownie – poza nim. Dowiadujemy się krótko: b y l i – oraz mimo wysiłków dla ich uratowania – u m a r l i ; pełny ciężar tego wydarzenia musiały udźwignąć same kobiety. Także o dziejowym fakcie utwierdzenia się władzy „czerwonych” dowiadujemy się tylko przez wiadomość o ruszeniu w normalnym trybie szkoły. Tu tryb „normalny” oznacza formalne, mimo zmiany ustroju, wznowienie pracy instytucji, zajęć z przetrzebionymi klasami, rocznej klasyfikacji według obowiązującego dotychczas programu. Jej wyniki dla Ottka dokumentowało, jak sam mówił, świadectwo zapisane samymi piątkami i czwórkami. Z góry wiadomo było jednak, że w tej normalności będą się musiały pojawić elementy nowe.

Jednym z nich było ogłoszenie, że warunkiem dalszego działania szkoły jest konieczność zaopatrzenia jej w opał na następny rok, do czego [...]

[...] Ludzie nie bardzo wiedzieli, do czego i jak się mają przygotowywać. Objawiały się różne szkoły zachowania. Czy na krócej czy na dłużej. Czy uciekać czy zostawać. Natychmiast zaczęły się również ujawniać i rozwijać istniejące, choć wcale nie zawsze dotąd przecież dostrzegane elementy odmiennej przynależności – Polacy, Ukraińcy, Niemcy, Żydzi... W sytuacji zagrożenia odżywały nowe i dziedziczone wewnętrzne napięcia, tak jakby coś, co trwało dotąd jako chwiejna całość, zaczęło się nagle na dobre rozsypywać, rozpadać.

Spośród tutejszych, kimkolwiek byli, niewielu decydowało się na ucieczkę – bo niby dokąd jeszcze i jak można by stąd uciekać. Przecież to na razie do nas spływała ta fala uciekinierów, którzy cofali się przed Niemcami, licząc na pomoc czegoś, co określano ogólnie Europą i na okresowe przechowanie (*Bo ileż to może trwać?... Przecież Anglia i Francja wypowiedziały Niemcom wojnę...*).

Wcale nie było wtedy pewne, że wszystko skończy się tak, jak się skończyć musiało.

Koniec całemu zamętowi położył po 17 września szok niespodziewanego wkroczenia przez wschodnią granicę sowieckiej armii wyswobodzicieli. Tak kazali się nazywać. U nas, jak to zapamiętano, pojawili się kilka dni później – chyba około 21 września. Jak się zaraz okazało, przyszlizli z przygotowanymi gdzieś (gdzie?) wcześniej (kiedy??), gotowymi już (!!!) drukowanymi mapami tutejszego ich nowego świata, któremu *Katiusza wychodziła na bierieg*. Teraz ten świat, w założeniu wkraczających zwycięzców (interwentów?), miał wokół nas pozostać na zawsze i stać się, czyśmy tego chcieli czy nie, naszym światem. Urządzili w tym celu nawet jawnie fikcyjne głosowanie dla publicznej akceptacji nowego ładu. W pierwszej chwili nikt na dobre nie wiedział, co to miało znaczyć i jak się w tej sytuacji zachować – znaczenia jednak objawiły się natychmiast.

Dopiero teraz nowego sensu nabrały tamte wcześniejsze, gorączkowe rozmowy o zapasach – rozumiano przez to przede wszystkim większą ilość jedzenia, opału i jakąś nową organizację życia poszerzonego o różnych bieżenców (uchodźców), których można było znaleźć w każdym prawie domu. Bo nagle okazało się, że oni wszyscy nie tylko nie mają ze sobą niczego, co potrzebne do życia, ale i nie będą mieli jak do siebie wrócić. I przestało być jasne, co to znaczy do siebie. W języku zaczęły pojawiać się nowe słowa albo stare słowa odkrywały w sobie nowe znaczenia, których trudno było się domyśleć. Jak się potem jednak

okazało, nikt również nie umiał sobie wyobrazić ani tych zapasów (na ile – na tydzień? na miesiąc? no – na dwa, trzy?), ani w ogóle dalszego trwania takiego (jakiego?) życia. Bo ono szybko zaczęło się przemieniać według nowych, wszystko obejmujących zasad, których podstawą, mniej czy bardziej jawną, było zniszczenie wszystkich dotychczas istniejących struktur.

Po naszej, wschodniej stronie nowo wyznaczonej granicy nastąpiło bowiem dopiero teraz realne wpisywanie całego świata w założenia polityczne i ustrojowe porządku sowieckiego (radzieckiego), likwidującego wszelkie formy własności prywatnej, zakładającego zniszczenie fizyczne, biologiczne „warstw uprzywilejowanych”, razem z ich obyczajami, kulturą i świadomością, na wzór tego, co w ZSRR – ojczyźnie systemu – trwało już od około dwudziestu lat. Z naszej, dziecinnej perspektywy nie rozumieliśmy z tego wtedy nic poza nieuświadomionym odczuciem, że zawało się dookoła wszystko.

Po okresie wielkich wstrząsów życie domowe w obrębie ogrodowej siatki wróciło jednak do nowej, dziwnej równowagi. To było tak, jakby jakiś ogromny ogień się wypalił. Wybuchł, huczał wysoko płomieniem, tłukł się, wystrzelał fontannami iskier – i zgasł. Naokoło trwało pogorzelisko. Spadł śnieg – i spod niego sterczały w niebo tylko końce osmalonych, strzaskanych belek. Popiół po wypalonym ogniu nosili w oczach i twarzach wszyscy dorośli. Prawdziwi i przyszywani krewniacy z pierwszej fali uciekinierów rozpieczęśli się gdzieś po świecie, próbując skrajnie czasem ryzykownego powrotu do swoich i na pewien krótki czas zostaliśmy po staremu, we czworo.

Stopniowo jednak (prawie natychmiast) zaczęli się ukradkiem pojawiać następni, szukający schronienia na dłużej i na trudniej.

Ojciec co rano znów zaczął jeździć do swojego biura Stowarzyszenia Dozoru Kotłów we Lwowie (jego instytucja, jak się okazało, nadal istniała, bez względu na zmianę władz, systemów i języków, bo ktoś musiał przecież pilnować tych wszystkich urządzeń...); choć nie zawsze tym samym podmiejskim pociągiem; czasem, zanim spadły wielkie śniegi, chodził na piechotę, malowniczą drogą przez Biłohorski las. Mama bardzo nie lubiła tej drogi. Miała ona złą sławę. Po Biłohorszczy włóczyli się „jacyś” i w dnie, w które Ojca dłużej nie było widać, wychodziliśmy, wypatrując go na skraju ogołoconego lasu. Przypominało to trochę ponurą, a trochę zabawną historyjkę o *Powrocie taty* (znaliśmy ją na pamięć), która u Mickiewicza wyglądała jednak optymistycznie, z paciorkiem na

początku i na końcu, mimo dwunastu (aż!) zbójców na planie. Optymistyczne było oczywiście to, że starszy zbójca, pod plugawą suknią miał serce i w tym sercu pamięć o własnych dzieciach (*Ach, ja mam żonę, i u mojej żony / jest synek, taki maleńki...*) zostawionych gdzieś w domu – choć sam, jak twierdził, po tym jednym dobrym uczynku z powrotem musiał do lasu wrócić. W jakiś niewyraźny sposób rozumieliśmy przecież głębsze znaczenie tego zdania – jak również i przekłety, ostateczny los owego zbója; mniej jasne było, co z tego wynikać mogło dla jego dzieci.

Nikt wcześniej nie przewidywał, że u nas to będzie mogło trwać w sumie aż sześć lat, bez żadnego optymistycznego końca, przy wtórze wszystkiego, co przewalało się tam i powrotem nad naszą cienką siatką, póki i jej nie ukradli. Nasz happy end wyglądał tak, że w listopadowy, deszczowy dzień 1945 roku z kupą tłumoków i paczek w towarowym „repatrianckim” wagonie ruszyliśmy na nieznaną „polską stronę” tą samą trasą, którą jeździł kiedyś na motocyklu ze Lwowa do Krakowa w radosnych zalotach młody Ottek do Oli. Nawet historykom trudno przyjdzie doszukiwać się w tym wszystkim jakiegoś jednoznacznego głębszego sensu. Co oni mogli zresztą po wojnie, historycy. Przez pięćdziesiąt prawie lat nawet imię naszego Miasta nie mogło się tutaj oficjalnie pojawiać w druku.

Rodzice nasi jednak, jak większość zwykłych ludzi, których wojna ogarnęła, szukać tego sensu nie musieli. On był w nich, zakorzeniony najgłębiej w wyobrażeniach, w uczuciach, w podświadomości, która potrafiła przeciwstawić się zarówno codziennemu doświadczeniu, jak perfidnej, pseudologicznej racjonalizacji narzucanej z zewnątrz, tak z prawa jak z lewa.

Najlepiej oddawały go właśnie słowa tamtej pieśni Kochanowskiego:

*Aniołom swoim każe cię pilnować,
Gdziekolwiek stąpisz, którzy cię piastować
Na rękę będą, abyś idąc drogą
Na ostry krzemień nie ugodził nogą.
Będziesz po żmijach bezpiecznie gniewliwych
I po padalcach deptał niecierpliwych;
Na lwa srogiego bez obrazy siędziesz
I na ogromnym smoku jeździć będziesz.
Słuchaj, co mówi Pan...*

Jakieś wyobrażenie tych dwóch potęg – lwa i smoka – dawał ogromny

marmurowy grobowiec na opuszczonym terenie Starego Dworu za naszą szkołą; na białe grzbiety jego lwów wdrapywaliśmy się podczas zabaw i pasienia krów około monumentu. Świadczą o nich fotografie, jakie nie mam pojęcia kto zrobił w czasie naszej tam zabawy z Krysią i Antkiem Ostraszami, mieszkającymi po drugiej stronie jaru; dziś są one absolutnie już zatarte – prawie nieczytelne. Co się stało z tym pomnikiem, który oczywiście został tam na wzgórzu i z naszymi serdecznymi przyjaciółmi, przecież gdzieś też wysiedlonymi po wojnie – oczywiście nie wiem. Po przyjaźni z nimi pozostało mi tylko ich zdjęcie z domowym kotem.

Pomijając doświadczenie zniszczenia i rozbicia, jakie tych sześć lat zostawiło na każdym, kto w tym czasie żył w Europie, w pewnym momencie (gdy gdzie indziej radowano się odzyskiwaną wolnością po zakończeniu wojny) przyszła dla nas tutaj generalna utrata wszystkiego w powszechnym rozproszeniu. Każda rodzina, wyjeżdżając właściwie na oślep gdzieś na Zachód w kolejnych masowych transportach, na własną rękę musiała szukać dla siebie po drugiej stronie nowej granicy nowego miejsca na świecie. Wcześniej nie wiedzieliśmy nawet, że ten świat naszego domu i ogrodu i całego dotychczasowego życia, przez wieki skupionego wokół Miasta wielu narodów, wiar i języków, choć minie oficjalnie wojna, dla nas po prostu zniknie – przestanie istnieć. Co miało być dalej, nie wiedział nikt absolutnie.

Na razie okazało się, że najszybciej wyrastaliśmy z butów.





Opowiedziana przez autorkę historia rodzinna jest w zamierzeniu czymś więcej niż tylko fragmentem rodzinnych wspomnień, choć i takie warte bywają niekiedy utrwalenia. Tytuł książki, *Światowe życie*, ma znaczenie nieco ironiczne. Rodzina Barbary Krydy, niesiona przez wiatry historii wielokrotnie zmuszona była zmieniać miejsce pobytu. Byli związani przede wszystkim z dawną austriacką Galicją i ich stolicami Krakowem i Lwowem, ale również z polsko-ruskim Dobruszem i Orenburgiem. Nie brak też związków z Wileńszczyzną, odległym Altajskim Krajem, a wśród młodszego pokolenia z Kuwejtem czy Norwegią.

Mimo opisywanych często dramatycznych epizodów wspomnienia zawierają optymistyczne przesłanie. Autorka pisze o dzielnych i mądrych, choć zwyczajnych ludziach, którzy starali się przekazać następnym pokoleniom, że zawsze należy szukać sposobu na przekraczanie nienawiści, ofiarowywanie zrozumienia i zdobywanie przyjaźni, nie przez drętwe moralizatorstwo, ale w toku codziennego życia.

Barbara Kryda urodziła się we Lwowie w 1931 roku. Wojnę przeżyła z rodzicami w miejscowości Zimna Woda pod Lwowem. Po „repatriacji” w 1945 r. mieszkała kolejno w Krakowie, Gliwicach, w końcu w Warszawie. Po studiach na Wydziale Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego przez dwadzieścia lat była nauczycielką języka polskiego w Liceum im. Żmichowskiej w Warszawie. W 1976 r. obroniła pracę doktorską i przez wiele lat, aż do przejścia na emeryturę, pracowała na stanowisku adiunkta w Zakładzie Metodyki Literatury UW.

Jako wieloletni członek Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza, w połowie lat siedemdziesiątych została wybrana na Sekretarza Generalnego Towarzystwa i pełniła tę funkcję przez dwadzieścia lat.



Nasze publikacje elektroniczne są dostępne w księgarniach internetowych oraz w czytelniach on-line ibuk.pl i nasbi.pl.

Sprzedaż książek drukowanych prowadzi wydawnictwo (zamówienia na adres edu-libri@edu-libri.pl) oraz księgarnie stacjonarne i internetowe (szczegóły na stronie wydawnictwa).



ISBN 978-83-63804-66-4

